Cena 50 gr.

Przyjaciel PSA

MIESIĘCZNIK

Rok I | Kwiecień 1936 | Nr. 4

Dr. STEFAN MILLER

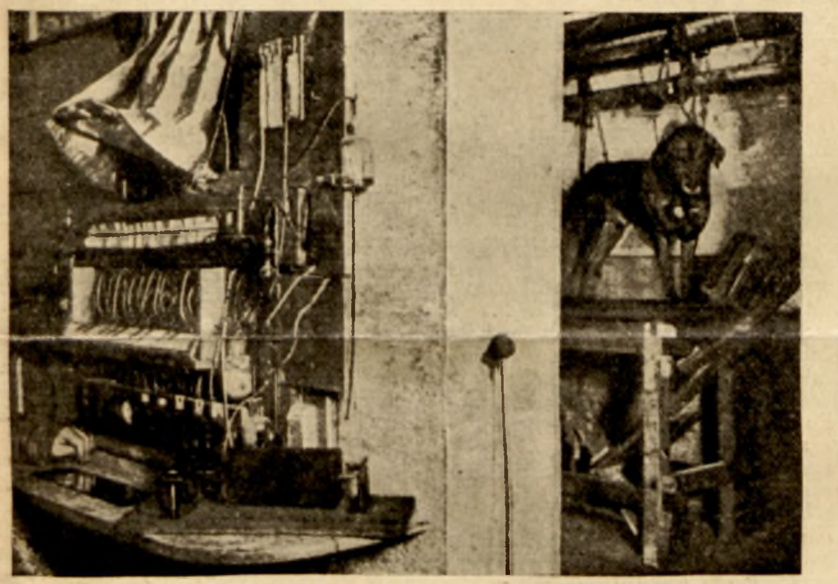
Pies na usługach nauki

— Zabierzcie Żurkę i dajcie Czarnego.

Głos rozlega się głuchem echem po żelazo-betonowych sklepieniach Wieży Milczenia.

Wieszam słuchawkę telefoniczną i wracam do pokoju, zostawiając drzwi od korytarza otwarte. Po chwili słychać brzęk wlokącego się po schodach łańcucha. Wbiega czarny kundel, przypada do mnie, łasi się, podskakuje. Nogi moje zaplątały się w przymocowany do jego obroży łańcuch. Z trudem udaje mi się uwolnić z jego splotów i przyczepić go do znajdującego się opodal haczyka. Stojąca obok Żurka, widząc tę scenę, usiłuje zerwać krępującą ją smycz, szczeka, wspina się, staje na tylnych łapach. Dopiero teraz zjawia się posługacz, któremu Czarny wyrwał się z rąk.

Posługacz ma czas, nie śpieszy się, jest znudzony swoją czynnością — cały dzień nic innego nie robi tylko przyprowadza psy na doświadczenia. Dla Czarnego doświadczenie, to jedyna w ciągu dnia atrakcja, zakłócająca monotonję jego psiego życia, to jedyna okazja zbliżenia się do swego pana-eksperymentatora. Musiał długo wyczekiwać na swoją kolejkę w mieszczącej się nadole poczekalni dla psów i teraz nie zniósł flegmatycznych kroków posługacza — wyrwał się mu i sam przybiegł do pracowni. Nie mam co do tego żadnych złudzeń — to nie zapał do wiedzy nim kierował, a tylko tych kilka misek proszku mięsnego, ktore tutaj dostaje. Nie pomniejsza to jednak mojego dobrego mniemania o jego zaletach umysłowych. Ostatecznie dlaczego pies doświadczalny ma być mądrzejszy od posługacza laboratoryjnego, który przecież idzie za nim też tylko dla chleba.



Pracownia z zupełnie izolowaną kabiną do badania zwierząt

Czarny, to dobry pies, silny typ, zrównoważony sangwinik, wydziela dużo śliny na sygnały, po których otrzymuje pokarm, a nie wydziela nic na bodźce, które pokarmu nie sygnalizują, szybko rozwiązuje trudne zadania, które mu stawiam, nigdy nie zasypia na doświadczeniu, ani razu nie udało mi się u niego wywołać nerwicy. To nie to co Fingał, którego słaby układ nerwowy nie może znieść najmniejszej trudności i z lada powodu zaczyna pracować chaotycznie — przestaje reagować na bodźce, na które powinien reagować, i naodwrót, reaguje na te, na które nie powinno być żadnej reakcji. Wystarczy zastosować podczas doświadczenia trochę więcej bodźców, po których pokarmu się nie podaje, a Fingał zaraz opuszcza łeb i zasypia.

Być może, Fingał jest ładniejszy od Czarnego, bardziej rasowy — mnie jednak te pozory nie zwiodą. Tutaj, w pracowni, o wartości psów decydują inne kryterja. Wiadomo, że całe zachowanie się zwierzęcia zależne jest od współdziałania dwóch zasadniczych procesów mózgowych: pobudzenia i hamowania, że są psy, u których obydwa te procesy są silne, a są takie, u których oba lub też jeden z nich niedomaga. Stąd też podział na typy: zrównoważone, pobudliwe i słabe. Czarny, to typ silny i zrównoważony, Fingał — słaby. Nie jest to powiedziane gołosłownie, nie wynika z moich sympatyj lub antypatyj — każdego, kto wątpi, mogę zawsze przekonać przy pomocy protokółów z przeprowadzonych doświadczeń.

Po wyjściu posługacza, który odprowadził Żurkę, Czarny uspokoił się. Napełniam wodą przyrząd, służący do mierzenia wydzielonej śliny, nasypuję proszku mięsnego do misek, rozgrzewam lak. Przez cały czas Czarny porusza tylko nieznacznie ogonem i bacznie przygląda się tym przygotowaniom. Kolejność ich jest mu dobrze znana — przekonał się, że dopóki nie zostaną one ukończone. na nic się nie zdadzą wszelkie wysiłki, aby czemprędzej stanąć na stole doświadczalnym. Lecz oto dotykam ręką jego łańcucha. Natychmiast zrywa się, naciągając łańcuch. Jeden doskonale wymierzony skok, i już znajduje się na stojaku przed miską. Teraz dopiero widać, że Czarny ma jeden policzek ogolony, a pośrodku ogolonego pola widnieje mała brodawka — ślad po przebytej przed paru laty operacji.

Operacja ta w swoim czasie uratowała Czarnemu życie. Schwytany gdzieś na ulicach Leningradu, nie uniknąłby pewno smutnego losu, jaki zazwyczaj czeka bezdomne psy, które wpadną pod opiekę zakładów oczyszczania miasta. Szczęśliwym jednak trafem dostał się do laboratorjum Pawłowa. Tu uśpiono go eterem i wykonano drobny zabieg operacyjny, przecięto policzek i wyprowadzono nazewnątrz przewód ślinowy.

Po kilku dniach rana zagoiła się, i Czarny zaczął pełnić swe obowiązki w laboratorjum. Codziennie przyprowadzano go do pracowni, stawiano na stojaku, zakładano różne przyrządy. Potem następowała chwila ciszy, wśród której nagle rozlegał się dźwięk metronomu.

Czarny przyzwyczaił się do tego, że po każdym takim sygnale w otworze stojącego przed nim przyrządu ukazuje się miska z pokarmem. Wlepiwszy wzrok w ten otwór, czeka pół minuty na jej pojawienie się, a przez ten czas z pozostałej po operacji przetoki wydziela się ślina. Jest to właśnie ów „odruch warunkowy", którego Czarny nauczył się w laboratorjum — ilość wydzielonej śliny jest tu miarą, przy pomocy której eksperymentator może ocenić siłę pobudzenia, jakie wywołał dźwięk metronomu w korze mózgowej zwierzęcia.

Czarnego jednak nie obchodzą te kwestje. Teraz, stojąc na stojaku, nadstawia posłusznie mordę i czeka, aż mu ogrzanym lakiem przykleję do policzka naczyńko, służące do zbierania śliny. Jest cierpliwy, bo bez tego nie będzie metronomu i nie będzie misek z pokarmem. Lecz oto cała manipulacja zostaje ukończona. Zamykają się ciężkie drzwi kamery, i Czarny pozostaje sam, wśród absolutnej ciszy. Żaden niepożądany dźwięk nie przeniknie do wnętrza kamery — ściany jej są specjalnie tak skonstruowane, aby dawały gwarancję całkowitej izolacji akustycznej. W doświadczeniach tych jest ona niezmiernie ważna, gdyż badając czynność kory mózgowej, eksperymentator musi panować nad wszystkiemi bodźcami, które dochodzą do zwierzęcia. Z chwilą zamknięcia drzwi kamery, zmienia się mój stosunek do Czarnego — zatraca on dla mnie cechy żywego stworzenia, staje się bezdusznym automatem, o skomplikowanym mechanizmie. Zadaniem mojem jest poznanie tego mechanizmu. Oto umieściłem ten automat w moim aparacie analitycznym — kamerze. Naciskam różne sprężyny — aparat rejestruje mi reakcje badanego mechanizmu, wyciągam z nich wnioski dotyczące jego konstrukcji. W okrągłem polu peryskopu widzę Czarnego: stoi nieruchomo. Naciskam balonik gumowy — w kamerze zapala się lampka elektryczna. Następuje zwrot głowy psa w kierunku misek — kilka ruchów ogona. W rurce zawieszonej nad pulpitem drgnął słupek czerwonego płynu — powoli zaczyna posuwać się wzdłuż skali — to wydziela się ślina. Szesnaście podziałek w ciągu 15 sekund. Czerwony słupek posuwa się coraz prędzej. Na obracającym się okopconym walcu każda wydzielona kropla zapisuje kreskę. Strzałka chronometru zbliża się do 30-ej sekundy. Naciśnięcie drugiego balonika — i bieg czerwonego słupka przyśpiesza się raptownie. To został podany pokarm. Przez peryskop widać, jak pies zanurza mordę do miski. Drobne ruchy głowy wskazują, że wylizuje proszek. Trwa to 34 sekundy — potem następują ruchy oblizywania się. Pies odwraca się od miski i siada. Czerwony słupek przez krótki czas posuwa się jeszcze naprzód. a potem się zatrzymuje. 5 minut przerwy do następnego bodźca. Badany automat-zwierzę reaguje sprawnie — każdy jego ruch zgóry daje się przewidzieć — nie może być nic nieoczekiwanego. Wiem np. że jeżeli nacisnę trzeci zrzędu gumowy balonik, reakcja będzie zupełnie inna. Pies odwróci się od misek i opuści łeb — czerwony słupek cieczy, rejestrujący wydzielanie śliny, nie poruszy się z miejsca. Metronom o częstości 60 uderzeń na minutę, który zapomocą tego balonika zostaje wprawiony w ruch, nigdy nie był u Czarnego kojarzony z pokarmem, w przeciwieństwie do metronomu o 120 uderzeniach na minutę. Spoczątku reakcja na obie te częstości metronomu była identyczna, ale po pewnym czasie na metronom 60/1' pojawiła się reakcja negatywna — zaczął on wywoływać w korze mózgowej Czarnego proces hamowania — nietylko sam nie produkował już więcej wydzielania śliny, ale jeszcze nautralizował działanie innych bodźców.

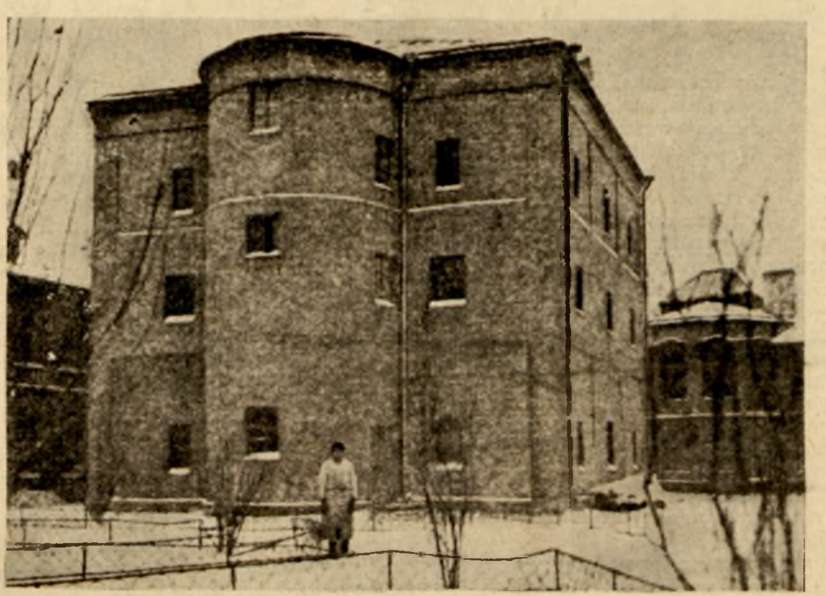


Pawłow operuje

Przy pomocy, latami prowadzonych, doświadczeń udało się w pracowni Pawłowa zbadać szereg własności procesu hamowania. Zaobserwowano np. że w pewnych wypadkach rozlewa się ono i obejmuje większe obszary mózgu, wywołując sen zwierzęcia, w innych koncentruje się w określonych odcinkach kory mózgowej, pobudzając tem samem inne odcinki do wzmożonej czynności.

Drogą systematycznych badań, przez stosowanie różnych bodźców w najrozmaitszych zespołach i kombinacjach, ustalono wiele praw rządzących czynnością kory mózgowej — tego najbardziej skomplikowanego ze wszystkich narządów zwierzęcia, który kieruje jego zachowaniem się nabytem, jego reakcjami nauczonemi, zdobytemi w ciągu życia drogą osobistego doświadczenia.

Całe tak pięknie opisane przez Londona bogactwo i różnorodność zachowania się psa, które przywykliśmy traktować jako skutek niemal ludzkich uczuć i pragnień, ujęte przez genjalny umysł ścisłego badacza, dało się rozbić na proste elementy i zanalizować naukowo bez hipotetycznego wczuwania się w duszę zwierzęcia. Okazało się, że jest ono wynikiem ściśle zdeterminowanej czynności odruchowej. Zwierzę, do którego nie dochodzą żadne bodźce, uchylające się naszej kontroli, staje się w naszych rękach żywym automatem.



Wieża Milczenia

Spójrzmy przez peryskop do kamery na Czarnego. Zamykając go tam razem z bodźcami świata zewnętrznego, zabrałem mu klucz od jego duszy. Jest on całkowicie zależny od mej woli. Chcę, żeby zasnął — zastosuję wielokrotnie metronon 60/1': proces hamowania rozpłynie się po mózgu, i skutek jest pewny. Chcę może popsuć cały ten złożony mechanizm? I to jest w mej mocy. Zacznę stosować natychmiast po sobie metronom 60/1' i metronom 120/1' — wywołam to co Pawłow nazywa „sszibką" — zderzeniem procesu hamowania i pobudzania. Czarny, który jest dziś taki spokojny i zrównoważony, który tak chętnie przychodzi na doświadczenia i sam skacze na stojak, po kilku dniach stanie się nieznośny, lękliwy, trzeba go będzie siłą przyprowadzać, zacznie zrywać ze siebie przyrządy, nie ruszy podanego mu pokarmu. Odruchy warunkowe staną się chaotyczne, i trzeba będzie długiej kuracji wypoczynkowej i bromu, aby go doprowadzić do normy.

Tak, droga życiowa zwierząt laboratoryjnych niezawsze jest usłana różami. Eksperymentator potrafi eksploatować swych pracowników bez litości i mając na widoku korzyści naukowe, nie zważa na krzywdę, jaką może wyrządzić zwierzęciu, nie wzdraga się wpędzić go w długotrwałą chorobę nerwową, a nawet, gdy doświadczenie tego wymaga, wycina mu kawałki mózgu. A jednak w pracowni Pawłowa pomiędzy psem i eksperymentatorem rozwija się stosunek najbardziej przyjacielski.



Przyrząd do drażnienia i rejestracji reakcyj zwierzęcia

Pies widzi w eksperymentatorze swego pana i przywiązuje się doń, zgodnie ze zwyczajami swego rodu. Eksperymentator zdaje sobie sprawę ile zawdzięcza swoim zwierzętom, i obdarza je miłością, może nieco podobną do miłości dobrego dowódcy, gotowego każdej chwili, gdy tego zajdzie potrzeba, umieścić swych ukochanych żołnierzy w warunkach niezbyt dla nich miłych, a nawet zaryzykować ich życie. W pracy laboratoryjnej — jak na wojnie — o zwycięstwie często decyduje szary bojownik nauki — pies; laury zdobywa dowódca — eksperymentator. Szczególnie uwydatnia się to w pracy doświadczalnej, dotyczącej działalności mózgu, gdzie zalety umysłowe zwierzęcia doświadczalnego mogą mieć nieraz większe znaczenie dla otrzymania ciekawych wyników nawet od zalet umysłowych badacza.

Pomimo, że jak powiedziałem, stosunek eksperymentatora do psa w pracowniach Pawłowa opiera się głównie na wyzysku, trzeba jednak podkreślić, że wyzysk ten jest tu obleczony w formę daleko idącej kurtuazji i dżentelmeństwa. Eksperymentator poczuwa się do obowiązku podawania w pracach naukowych nazwy zwierzęcia, na którem dokonał doświadczenia. Tym, którzy są skłonni do przypisywania psom uczuć ludzkich i oburzają się z tego powodu na niehumanitarność fizjologów, może wystarczy jako rekompensata, że trudy zwierząt doświadczalnych zostają nagrodzone rozgłosem i światową sławą ich imienia. Kiedy przyjechałem do Leningradu, równą niemal przyjemność miałem z zawierania osobistej znajomości z ludźmi, których znałem dotychczas jedynie z ich prac, jak i z psami, o których czytałem w tych pracach. „Umnica", „Zołotistyj", „Dżon", to wszystko starzy znajomi — zasługi ich dla nauki są nieocenione. Co za przyjemność i zaszczyt uścisnąć ich łapę!...

Sława to wielka rzecz, niejeden gotów i życie dla niej poświęcić, ponieważ jednak niektórzy są skłonni powątpiewać, czy psy są również tego zdania, dodam że praca w laboratorjum pociąga za sobą szereg zupełnie realnych korzyści, a mianowicie: chleb (raczej kaszę), dach nad głową (w luksusowej psiarni), stałą opiekę lekarską oraz emeryturę na starość. I to wszystko za jednogodzinny dzień pracy!

To prawda, że warunki dobrobytu, jakie stworzyła pracownia Pawłowa dla swych pupilów, mają swe głębsze podstawy. Im dłużej znajduje się pies w pracowni, tem większą stanowi dla niej wartość. Wszelkie zakłócenia w jego organizmie odbijają się ujemnie na pracy jego mózgu i tem samem utrudniają prowadzenie doświadczeń. Pies nie powinien być ani zbyt głodny, ani przejedzony. Stąd racjonalne, na naukowych podstawach oparte odżywianie i ochrona przed wszelkiemi czynnikami szkodliwemi. Jeżeli jednak chodzi o „emeryturę", to tu już mamy do czynienia jedynie z pewnym sentymentem i poczuciem obowiązku w stosunku do tych, którzy przez długie lata pracowali dla laboratorjum. Czyż można być tak niewdzięcznym, aby takiego weterana psiego, który ma za sobą liczne zasługi dla nauki, wyrzucić na bruk, gdy ze względu na podeszły wiek niezdatny już jest do doświadczeń? Zazwyczaj człowiek w takich wypadkach zadowala swoje sumienie, zadając zwierzęciu t. zw. lekką śmierć.

Pracownia Pawłowa w inny jednak sposób spłaca swój dług wdzięczności zaciągnięty wobec zwierzęcia — utrzymuje je dopóki nie nastąpi śmierć naturalna.

Za czasów mego pobytu w pracowni Pawłowa, na emeryturze był niejaki „Zładiej". Miał on już za sobą wiele cennych prac, gdy nadeszła starość i praca z nim stała się już niemożliwa. Wówczas postanowiono go odmłodzić. Zrobiono mu operację Steinacha (podwiązanie nasieniowodów) z jednej strony, co na parę miesięcy rzeczywiście poprawiło sytuację. Ponowna operacja po drugiej stronie również dała krótkotrwały efekt. Wtedy przeszczepiono mu jądra metodą Woronowa, lecz i tym razem poprawa po pewnym czasie przeminęła. Więcej już nic nie można było zrobić, więc przeniesiono „Zładieja" na emeryturę.

Tak wygląda życie psów w najsławniejszem laboratorjum fizjologicznem świata, w laboratorjum zmarłego niedawno Iwana Pietrowicza Pawłowa. Niema tam ani tajemniczości i niesamowitości, jaką chcieliby widzieć jedni, których wyobraźnię podnieca już sama nazwa pracowni — „Wieża Milczenia"; niema też zimnego wyrachowanego okrucieństwa, które poprzez mury pracowni koniecznie chcieliby tam dostrzec inni; jest poprostu codzienna, prawdziwa i rzetelna, nieraz ciężka i nużąca praca nad wyjaśnieniem mechanizmów działalności mózgu. Pies jest jej objektem. Stosunek doń jest rzeczowy. Warunki jego życia wynikają z potrzeb prowadzonych badań naukowych oraz ze zwykłego, właściwego ludziom przywiązania do zwierząt. Stosunek człowieka do zwierzęcia eksperymentalnego nacechowany jest tą dozą przyjaźni i sympatji, jaką posiada normalny człowiek dla psa, z którym często przebywa i z którym związana jest jego praca. Pozbawiony jest wszakże cech owego mdłego i częściowo już anormalnego sentymentalizmu, wykazywanego przez t. zw. „opiekunów zwierząt", którzy stając w ich obronie przed urojonemi krzywdami, jakie im się dzieją w pracowniach naukowych, zapominają niestety, jakże często o ludzkości.



Bhanu Bandh, chart afgański, jeden z czołowych okazów wystawy w londyńskim Olympia Hall



Championi pokazu, urządzonego przez Klub Foxterriera w Utrechcie



Wyścig pomiędzy owczarkiem a małą owieczką na plaży w Portmouth. Mimo starań dziewczynki, szanse nie dadzą się wyrównać

STANISŁAWA KUSZELEWSKA

Pieskie wspominki

TRUBADUR

Wyżlica Prima oddana została na lato do starszych państwa. Właściciel jej, młody elegant, zakamieniały podówczas kawaler, nie mógł zmieścić psa w swojem biurowo-restauracyjnem życiu. Starsi państwo mieszkali na Krymie, w Eupatorji (balkon na morze). Syn ich, właściciel Primy, w — Sewastopolu. Na niedzielę przyjeżdżał do rodziców. Często, ale nie co tydzień. Zawsze statkiem. Statki od strony Sewastopola przychodziły tu trzy razy dziennie. Stawały o kilkaset metrów od brzegu, bo Eupatorja nie posiadała portu. Podróżnych dowoziła motorówka.

Prima tęskniła bardzo. W godzinach przybycia statków, siadywała na balkonie, wpatrzona w daleki okręt. W pewnej chwili rzucała się z rykiem radości do drzwi wejściowych.

— Marysiu — mówiła wtedy w kierunku kuchni starsza pani, nie ruszając się ze swego fotela. — Szykuj befsztyk. Panicz przyjechał tym statkiem. Za pół godziny będzie w domu.

Befsztyk nigdy nie czekał napróżno.

— — — — — — — —

Panicz, prócz sentymentu, przywoził szcze w rodzicielskie progi — bieliznę do prania. W przeddzień uroczystości wielkiego prania, Marysia wyrzucała z kosza na podłogę stos bielizny całej rodziny i zaczynała sortowanie. Według gatunków, ma się rozumieć. To osobno — tamto osobno. Na oddzielne kupki. Natomiast Prima była innego zdania. Bieliznę panicza — osobno! Jednym susem spadała na biały stos (sama czarna jak kruk), i po chwili, cała bielizna ukochanego, wybrana najdelikatniejszym chwytem zębów i zawsze bez błędu, zawleczona bywała do ustronnego kąta.

W tym to kącie, na stosie białych płócien, spoczywała Prima. Zazdrosna, szczęśliwa, z przymkniętemi od rozkoszy oczami.

— — — — — — — —

Panicz, przyjechawszy na niedzielę, grywał czasem na mandolinie. Mandolina wisiała nad otomaną, w gabinecie starszego pana. Prima spokojnie czekała cały tydzień.

Aliści koło niedzieli, jakoś pod wieczór, z pustego gabinetu zaczyna dochodzić cichutka muzyka.

— A rzeczywiście — odzywał się na to starszy pan, kładąc pasjansa w stołowym. — Kazio już dawno nie przyjeżdżał.

— Tak — wzdychała pani znad robótki. — Prima już drugi wieczór gra na mandolinie.

W ciemnym gabinecie stała czterema łapami na kanapie Prima i leciutko — nosem — dotykała strun. Napiętych, porzuconych strun, które tylko dla niej, dla niej jednej, przechowały zapach kochanych rąk.

KTO PIERWSZY?

Cymbał, jeden z pięciu wspaniałych chartów, był wyjątkowo głupi. Wiadomo — Cymbał. Pieczę nad charciem jedzeniem sprawowała jejmość Francisko Słomiano. W obwodzie należyta, na gębie i łydkach buraczkowa, rozumem nie przewyższająca swoich pupilów.

Południe. Na dużym trawniku, przed dworską kuchnią, stawia Francisko ogromne niecki, pełne ciepłej osypki. Na zielonej trawie czerwienieją kolumnowe łydy.

— Cymbał! Piorun! Afra! Zagraj! Czaus! Na tu! Na tu!

Z kątów podwórza sadzą charty, wyrwane drzemce na słoneczku.

Białe półropusze! Kilka śmigłych susów przez gazon. Już cztery pyski tkwią w osypce. Piątego niema.

— Cymbał na! Cymbał na! Cymbał na! — zanosi się Słomiano.

Po chwili brzmi to: „Nacymbał, nacymbał, nacymbał!".

A Cymbał leżał był pod krzakiem, tuż koło kuchni. Na widok Franciszki, czy na zapach jadła, wstał, przeciągnął się i podszedł sobie spokojnie, bo miał najbliżej. Podszedłszy, stanął za niewiastą i począł lekko tykać nosem w łydkę, żeby zawiadomić o swojem przybyciu.

Słomiano patrzy przed siebie i wrzeszczy z uporem: „Nacymbałna! Nacymbałna! Nacymbałna!". Chart stoi za nią i czeka spokojnie.

Widzowie patrzą z ganku i robią zakłady: kto zorjentuje się pierwszy?

W MAJU

Nie widzieliście nigdy pijanego charta? A ja widziałam. Więcej — sama go upiłam. Niechcący. Nazywał się Psiuńcium-puńcium, i za to go kochałam. (Zamiłowanie do pięknych słów od najwcześniejszego dzieciństwa). Chart ów dusił gęsi, jak każdy chart na świecie. Któregoś dnia, pan miał tego dosyć, zbił psa i zamknął go za karę w piwnicy. Zakratowane okienko — wprost na ogród. Na dworze „kwiecisty i wonny maj", a biedny, zbity pies w ciemnej zimnicy. Moje siedmioletnie serce nie mogło tego znieść. Trzeba psa pocieszyć. Coś mu tam wrzucić smacznego do więzienia. Nawinęły się pod rękę wiśnie, zostawione w kuchni po zlaniu nalewki. Spróbowałam jedną — doskonała. Słodka, pięknie pachnie, w język szczypie. Łaps całą miskę! Wisienkę po wisience — cichaczem — chartowi — przez okienko — na pociechę. Więzień łykał, dziękował, prosił o jeszcze, aż połknął całą porcję.

Wreszcie nadszedł pan, (zdążyłam schować się w porę), otworzył piwnicę, przemówił psu do rozumu i wypuścił na słoneczko. Pies odetchnął majowem powietrzem — i był gotów. Biały chart, pijaniuteńki, na ogrzanym, zielonym gazonie. Zataczał się, kołował, przewracał, wstawał i znów zaczynał od początku. Jakże się dziwił samemu sobie!

Chcieli posyłać po weterynarza. Musiałam wyleść z krzaków i zdecydować się na wyjaśnienia. A raczej, na zadawanie pytań. Bo dlaczego właśnie od wiśni?

Wyjaśniono mi. Oj, wyjaśniono.

SUMIENIE

Dublet — to prawdziwy gentleman. Jak każdy wyżeł. Każdy, prócz Asa. Ale o wyrodku Asie — kiedyindziej. Dublet, żółty pointer, chodzi do kościoła z państwem i małą panienką. Kościół stoi na ogrodzonym placu. Dublet wie, że już poza ogrodzenie wejść mu nie wolno. Siada spokojnie przy bramie, pan nie potrzebuje mówić ani słowa. Dublet siedzi nieruchomo. Pół godziny, godzinę, ile trzeba. Państwo wychodzą — Dublet wstaje. Razem wracają do domu. Dublet zna się na zwyczajach i nigdy ich nie przekracza.

Aż raz jeden... Niewiadomo dlaczego. Chyba dlatego że nawet nieskazitelny gentleman kiedyś zgrzeszyć musi. Państwo wrócili ze spaceru. — Dubleta niema. Gdzie? Przecież ciągle szedł przy nodze pana. Trudno. Niema. Miasto nieduże. Wróci. Jakoż za godzinę — wraca. Ale jak? Pełza na brzuchu, przeprasza pokornie, skruszony i pełen winy. Ależ nikt się nie gniewa! Wszyscy są radzi. Dublet swoje — przeprasza i przeprasza. Patrzy w oczy, obiecuje że już nigdy, prosi o karę.

Wieczorem zjawia się wyjaśnienie w brzydkiej postaci straganiarki.

— Ledwiem państwa zdybała! Nijak nie mogłam się przepytać, czyj to pies! Tyla kiełbasy mi ze stragana zeżarł, bestyjo zatracono! Pół rubla mi się należy.

IMIONA

Były sobie dwa jamniki.

W niedzielę przychodzili goście i zanudzali dzieci — jak to goście — niemądremi pytaniami. Wreszcie pytali:

— A jakże się nazywa, Zosiu, ten śliczny żółty jamniczek?

Zosia najspokojniej:

— Zgadnij.

— Nie, Zosiu, zgadywać nie będę. I odkąd to dzieci mówią starszym „ty". Może Jaś da dobry przykład i powie mi, jak się nazywa ten drugi jamniczek, czarny?

— Nie wiem — odpowiadał Jaś.

Goście byli oburzeni, a dzieci niewinne. Niewinne i ukradkiem rozradowane. Jak przyjemnie być niegrzecznym, nie będąc niegrzecznym!

Jamniki bowiem istotnie nazywały się „Zgadnij" i „Niewiem".

Foks nazywał się „Jakty" i zostawiano go na deser. Nadawał się doskonale, aby z nim polować „na upatrzonego" na szczególnie nielubiane starsze panie.

— Jakże się nazywa ten piesek, dzieci?

Dzieci chórem:

— Jak ty!

ZMIANA WARTY

Mora była najmądrzejszym psem na świecie. Nie, nie liczyła do stu i nie wyszczekiwała, ilu jest panów w pokoju. Miała rację. Poco komu takie głupie sztuczki? Ludziom żadna korzyść, a psu obraza. Rozum Mory był rzetelny, konkretny, gospodarski. Mora znała życie i wiedziała że ma poważne obowiązki. Wiedziała, że młoda Pani jest samotna i zapracowana. Wiedziała, że dawny dwór spłonął, a mała chatka w dużym ogrodzie mieści cały ubogi dobytek pani. Mora wiedziała, że trzeba pomóc. Któż pomoże jeśli nie ona? Pani cały dzień pracuje. Któż zajmie się dzieckiem?

— Mora, weź panienkę na spacer! — wołała pani, spuszczając psa z łańcucha i wkładając jego koniec w rękę pięcioletniej córeczki. Mora obchodziła panienkę dwa razy dokoła, owijała łańcuchem małą figurkę i ciągnęła za sobą w pole. Po godzinie odprowadzała do domu.

Dużo złych ludzi wałęsało się w owych czasach po drogach. Ogród był nieogrodzony, i Mora wiedziała, że w nocy całe obejście jest na jej głowie. Systematycznie z wieczora obejmowała wartę. Leniwemu Łyskowi kazała iść spać zaraz po kolacji. Starannie obszczekiwała domek i obórkę dokoła.

Ale przecież najlepszy gospodarz musi się przespać parę godzin. I nie sztuka wszystko zrobić samej. Sztuka jest orać w innych. C'est la vie. To też, gdy tylko zapiały pierwsze kury, głos Mory milknął. Domek obchodził i obszczekiwał wyciągnięty z obórki — Łysek.

Mora zorganizowała zmianę warty i z czystem sumieniem spała do świtu.

MIŁOŚĆ

Dlaczego mieszkając na wsi, za Włodzimierzem, Pan oddał Kudłusia, bronzowego kundla, przyjacielowi aż za Kowel — nie wiem. Milczą o tem dawne kroniki i nie wyjaśnia tego nowoczesna psychologja. Poprostu, miłość bywa niezrozumiała. Bo przecież Pan i Kudłuś kochali się bardzo. A jednak oddał.

Do Kowla nie było jeszcze kolei z Włodzimierza, a odległość wynosiła (i niestety, wciąż wynosi) około dziewięćdziesięciu kilometrów (wtedy wiorst).

Po tygodniu — Kudłuś wrócił. Mizerny, zmęczony — szczęśliwy. „Widzisz! Odnalazłem Cię! Cóż za straszne nieporozumienie rozdzieliło nas tak nagle! Wyobrażam sobie, jak tęskniłeś!".

Nie. Pan spojrzał surowo i natychmiast, przez umyślnego, odesłał psa za Kowel. (Jakże ślepa bywa miłość!).

Po tygodniu — Kudłuś wrócił. Mizerny, zmęczony — niepewny. Nie ośmielał się być szczęśliwy. Patrzał pytająco i rozpaczliwie. „Więc to ty? Ty sam kazałeś?".

Pan nie odpowiadał. Polecił wsadzić psa do worka i odwieźć za Kowel. (Miłość bywa okrutna).

Kudłuś nie wrócił ani po tygodniu, ani po roku. Co myślał Pan — nie wiem i nigdy nie będę wiedziała.

Minęło pięć lat. Pan siedział na ganku domu. Słońce zachodziło czerwono, na wiatr. Pachniała zbudzona maciejka. Pan poglądał na bramę, uporczywie i bardzo smutno. (Może już wiedział, jak ślepa, okrutna i niezrozumiała jest miłość). Zapadał zmrok. W bramie zaczerniał jakiś cień. Pan spojrzał bystro. Cień pełznął zwolna ku gankowi, mały, puszysty, czterołapy. Pełznął coraz wolniej, ostatkiem sił. Pan rzucił się ku niemu. (Jak późno przejrzała miłość!).

Kudłuś dosięgnął przedniemi łapami butów Pana, zatopił wzrok w jego oczach i oddał ostatnie tchnienie.

OBSPRAWIŁA SIĘ

Mówią, że wszystko ma swoje granice. Nieprawda. Miłość cioci Mirki do psów nie miała granic. Któregoś lata buszowało ich we dworze szesnaście. Nowonabyte były zawsze piękne; dawniej nabyte — straszne. Dlaczego? Dlatego że kupowano w Warszawie na wystawie najpiękniejsze rasowce, a potem na wsi przekarmiano je gotowanem mięsem i cukrem. Psy dostawały parchów. Z miłości. Tej bez granic.

Trzeba było raz na rok przyjechać do Warszawy „trochę się obsprawić". Zawsze na przednówku, kiedy najtrudniej z groszem. Wuj klął. Trudno, wystawy psów bywają w maju. Toteż się „sprawiało". Suknie bywały wciąż te same, psy — ciągle nowe. Do szesnastu.

Kłębiło się toto wszędzie. Ani kanapy do poobiedniej drzemki, ani fotela dla gościa. Pchły, sierść — skaranie boskie. Coprawda, uciechy było z tem również coniemiara. Wspaniały Fram, dostojny bernard, godzinami sam siebie obszczekiwał w lustrze. Czarny kudłacz Pik, na wezwanie „połóż się" natychmiast prezentował białe, puszyste podbrzusze. Charcicy Afrze wystarczyło powiedzieć: „Afra, zaśmiej się", żeby czarne wargi czarnego pyska zadrżały wesoło, uniosły się wysoko i obnażyły białe zęby i czerwone dziąsła. Przytem zawsze śmiały się oczy. Malutki, puszysty Nutek lubił karmelki. Ale nie byle jak podane. Lubił siąść w salonie na stole, tak, na stole, i otrzymać z rąk swojej pani karmelek zawinięty w papierek — jak otrzymywały dzieci. Ustawiał go sobie wygodnie, jakby kostkę, rozwijał pazurkami i zjadał. Rozwiniętego nie przyjmował.

Czaus, cudny kremowy chart, podniósł wadę łakomstwa do granic bohaterstwa. Potrafił wskoczyć na rozpaloną płytę kuchenną i wyjadać gotujące się potrawy, tańcząc czterema nogami na gorącej blasze sarabandę desperackiej żarłoczności.

Pass... o, Pass rozumiał każde słowo. To znaczy kilkanaście obiegowych słów codziennego życia. Był, naturalnie, wyżłem. Mówiło się:

— Pass! Przynieś tytoń!

Przynosił. Doskonale wiedział, gdzie leży.

— Ależ Pass, a zapałki?

Za chwilę były i zapałki.

Szesnaście misek w tak zwanym „kredensie". Szesnaście poduszek w ogromnej sieni. Ceremonjał dzielenia mięsa, rytuał rozdawania kaszy. Ile czasu! Ile pieniędzy!

— Pfuj, obraza boska — twierdził wuj.

I obiecywał codziennie:

— Wszystko powystrzelam.

— Całe szczęście, że wybuchła wojna, — mawiano w rodzinie, — ciotka nie potrzebuje się przyznawać, że zrujnowały ją tylko psy.

Najdroższym skarbem w całej kolekcji była — jak samo imię wskazuje — Perełka. Biała bolonka, niemodny już dzisiaj gracik. Z epoki postiszów. Tę Perełkę sama Ciotka przejechała kiedyś na śmierć, ruszając wolantem sprzed ganku.

Od tej pory nie „sprawiła" żadnego nowego psa. I nie pojechała już nigdy do Warszawy.

Poco?

ODO BUJWID, emerytowany profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego

Psia etyka

Pies posiada własną etykę w postępowaniu z człowiekiem. Jest on oddany swemu właścicielowi na śmierć i życie. Powiedziałem: właścicielowi, ale ta nazwa nie określa jeszcze wzajemnego stosunku. Pies musi naprzód uznać swego właściciela za swego wyłącznego pana, przyzwyczaić się do niego, zaprzyjaźnić się z nim. Najlepiej jeżeli to jest jego wychowawca od małego szczenięcia i jeżeli przywiązanie wynikło ze stałego obcowania. Wtedy pies niejednokrotnie zaczyna rozumieć każde skinienie, odczuwa dobry lub zły humor i nastrój swego ludzkiego przyjaciela i stara się swem postępowaniem wykazać, że go rozumie i chce być pomocny w jego troskach i przykrościach życiowych.

I jakże często bywa, że człowiek, ten „homo sapiens", staje się pod względem postępowania stworzeniem niżej etycznie sytuowanem.

Proszę się nie śmiać. Opowiem przykład, gdzie pies postąpił rozumniej niż człowiek. Przykro nawet o tem mówić, gdyż dotyczy to mojej własnej osoby. Ale trzeba umieć zachować bezstronność.

Mieliśmy psa bernarda, który uznał siebie poddanym nie moim lecz mojej żony. Ja byłem przez naszego przyjaciela traktowany jako osoba podrzędna. Gdy jego pani była na przechadzce, zawsze szedł koło niej, gdy siadała na murawie dla odpoczynku, układał się tuż koło niej, gdy szła podgórę, stawał na przedzie i jakgdyby mówił: „załóż mi coś na szyję a będę cię ciągnął dogóry". Tak wyraźnie do tego się napraszał, że wkońcu zrozumiała go i przywiązała do obroży linkę, przy pomocy której pies istotnie ją ciągnął.

Ale co innego chcę tu opowiedzieć.

Pani miała starego kota, którego bardzo lubiła. W początkach znajomości z kotem pies zachował się tak jak się to zwykle dzieje. Wygnał go odrazu z pokoju i byłby może udusił, gdyby pani surową wymówką nie skarciła go i nie zaznaczyła wyraźnie że kota napadać nie wolno. Pies zrozumiał i odrazu zastosował się do rozkazu. Siadaliśmy w ten sposób nieraz we czwórkę w doskonałej komitywie. Pewnego razu już nie pies ale ja zrobiłem kotowi jakąś przykrość. Może pociągnąłem go za ucho lub za ogon, bo niekiedy nawet poważnych spozoru ludzi trzymają się niemądre psoty. Wówczas nasza pani zwróciła się do mnie z uwagą:

— Nie dziwiłabym się psu, ale że ty stary pozwalasz sobie na takie wybryki, temu się naprawdę dziwię.

Przyjąłem uwagę z pokorą. Ale nie na długo. Znów kiedyś, kiedy siedzieliśmy we czwórkę, kot przybrał tak prowokującą minę, smacznie śpiąc na krzesełku koło mnie, że musiałem coś spsocić. Wówczas pies skoczył do mnie i dosyć boleśnie ukąsił w ramię. Taka mię spotkała nauka!

Musiałem mu przyznać całkowitą rację i jakkolwiek w pierwszej chwili miałem zamiar go uderzyć, nie zrobiłem tego, lecz pogłaskałem za tak dobre zrozumienie intencji swej przyjaciółki.

Taki wypadek, gdzie pies stanął w obronie kota, jest istotnie unikatem, zwłaszcza że nie chodziło tu o kota, z którym żył w przyjaźni. Działał on tu wyraźnie idąc za wolą swojej pani.

Bardzo ciekawe jest zachowanie się psa kiedy zostaje dotknięty chorobą wścieklizny. Pies czuje wtedy gwałtowną chęć kąsania. Jest on jednak w początkach choroby na tyle przytomny, że nie może pozwolić sobie na ukąszenie kogoś z otoczenia. Kąsa wtedy najczęściej stworzenie niższe inteligencją od siebie. Rzadko rzuca się na psa, z którym chowa się w tym samym domu, a zupełnie wyjątkowo kąsa swego pana. Jeżeli się to dzieje, to tylko w późniejszych stadjach choroby, kiedy zaczyna tracić świadomość, a zarazem nie umie opanować potrzeby kąsania.

Toteż zwykle pies, czując tę niezwykłą u siebie chęć kąsania, ucieka z domu właściciela i kąsa, wpadłszy na obce podwórze, obce zwierzęta i osoby. Wówczas kąsa każdego kogo tylko napotka na drodze.

Kiedy obcy pies przybiega niewiadomo skąd, kąsa na obcem miejscu inne psy i rzuca się z zamiarem ukąszenia na ludzi, jest to prawie pewna oznaka, że został dotknięty chorobą wścieklizny. Trzeba jednak stwierdzić, czy niema w pobliżu właściciela psa, gdyż w tym wpadku, czując bliskość właściciela, pies może kąsać bez żadnego powodu obce osoby w obcem miejscu.

Zdrowe psy nigdy nie kąsają w obcem miejscu bez obecności właściciela. Przy stwierdzaniu, czy pies jest chory na wściekliznę czy nie, ta okoliczność powinna być przedewszystkiem wzięta pod rozwagę.

Gdy jedziemy przez wieś, często widzimy, że pies szczekając biegnie za bryczką lub powozem w obrębie swego rejonu, t. j. w granicach posiadłości swego pana. Gdy oszczekał swój rewir, wraca do domu, a inny pies z następnej chaty wstępuje w swoje obowiązki. Ale niech go zapał zbyt uniesie i niech się zdarzy, że przebiegł poza swój rewir, wówczas nie będą biegły razem szczekając (chyba że przedtem zawarły przyjacielski układ wzajemnej nieagresji), lecz drugi pies rzuci się na pierwszego i będzie chciał go odpędzić, bo to już jest wejście na obcy teren, do którego tamten pies nie ma prawa. Pies to wie i szybko z podwiniętym ogonem skonfundowany ucieka, wstydząc się zbytniego zapału.

Nie mogę pominąć zabawnego zdarzenia, jakie opowiedział mi p. Wilczewski w związku ze znanym botanikiem, prof. Schrötterem z Zürichu. Nie ma to jednak nic wspólnego z psią etyką, jest raczej dosyć zwykłą próbą psiej inteligencji.

Prof. Schrötter był bardzo lubiany przez swych uczniów, ale niekiedy wyzyskiwano jego dobroć i nie przygotowywano się należycie na egzamin.

Miał on zmyślnego wyżła, którego przyzwyczaił do zrywania pewnych roślin.

Pewnego razu przyszedł na egzamin z pękiem roślin i jednemu ze słuchaczy kazał odszukać Taraxacum officinale, t. j. zwykły pospolity kwiat dmuchawca. Słuchacz nie umiał tego dokonać. Wtedy prof. Schrötter zawołał na psa i kazał mu pokazać wymienioną roślinę. Pies po pewnej chwili podaje profesorowi żądany kwiatek.

— No, widzi pan, jak pan umie botanikę: pies lepiej od pana rozróżnia!

Pan Wilczewski opowiedział mi również, jak pieski domowe uratowały mu życie przed rozjuszonym buhajem.

Buhaj wybiegł ze stajni po urwaniu łańcucha. Wszystko co żyło pochowało się, na podwórzu został tylko p. Wilczewski z batem. Przez chwilę zdawało się, że buhaj ulęknie się bata. Ale uderzenie po pysku tak go rozjuszyło, że zwrócił się rogami i momentalnie uderzył p. Wilczewskiego w pierś. Pod wpływem uderzenia p. Wilczewski zwalił się z nóg i dla ochrony wystawił nogi wgórę, tak iż buhaj bodąc nogi rogami po ziemi śliskiej od świeżo spadłego deszczu, pchał go rogami ku płotowi. Zaledwo kilka kroków dzieliło p. Wilczewskiego od płotu, ku któremu buhaj parł coraz dalej; w tej chwili wybiegły z domu dwa pieski, stali towarzysze p. Wilczewskiego. Widząc swego pana w opresji, rzuciły się na buhaja, kąsając go w tylne nogi. Odwróciło to uwagę od ofiary, która z trudem zawlokła się do domu, gdy buhaj popędził za pieskami.

Każdy z nas zna dużo takich przykładów, przytaczam jednak to opowiadanie dla stwierdzenia niezwykłej przytomności i czujności tego niezawodnego towarzysza i przyjaciela człowieka, który ileż razy potrafi za tę ofiarność odwdzięczyć mu się... po ludzku.

WACŁAW HUSARSKI

Pies w malarstwie polskiem

Historja sztuki, która osiągnęła ostatniemi czasy tak imponujące rezultaty w zakresie inwentaryzacji, stwierdza na podstawie drobiazgowo i mozolnie przeprowadzonej statystyki, że śród zwierząt bliżej ludziom znanych, pies jest jednem z najrzadziej przedstawianych w dziełach artyzmu.

Człowiek okresu kamienia łupanego, oddający się, jak wiadomo, z osobliwą pasją malarstwu animalistycznemu, pozostawił na ścianach jaskiń, które zamieszkiwał, wyobrażenia licznych i różnorodnych okazów ówczesnej fauny; są śród nich mamuty, renifery, bizony, konie, ale brak psa.

Ze sztuki egipskiej zebraćby się dało wcale wyczerpujący atlas zoologiczny, od olbrzymiego hipopotama do maleńkiego chrabąszcza, od wspaniałego lwa do groteskowego pawjana; sztuka ta odtwarzała z widoczną lubością wszystkie niemal okazy zwierząt i ptaków domowych: konie, osły i krowy, gęsi, kaczki i gołębie, odtwarzała częstokroć nawet i koty, ale wyjątkowo rzadko — psy.

Zjawisko to trwa po dzień dzisiejszy. Wiek XIX, wiek rozpoczynającej się mody na specjalizację, miał w malarstwie licznych i wybitnych „speców" od konia — żeby wymienić tylko Géricaulta, Verneta, u nas — Michałowskiego i Juljusza Kossaka, miał znakomitych odtwórców bydła rogatego, jak Troyon, jak Rosa Bonheur; w malowaniu psa specjalizowali się natomiast artyści bardzo nieliczni, i przeważnie tacy, którzy i tak już byli „pod psem", jak np. burżuazyjny anegdociarz i kiczarz Edwin Landseer.

Rzecz tłumaczy się, być może, tem, że pies jest przyjacielem człowieka, artyści zaś niczego tak nie unikają jak malowania przyjaciół. Niech taki portret będzie niedostatecznie pochlebiony — a przyjaźń gotowa ulec ochłodzeniu, nieraz nawet zupełnemu ostygnięciu; o nabyciu podobizny niema przytem nawet mowy: przyjaciel chce ją dostać w upominku, i w dodatku z dedykacją.

Pies jest coprawda, pomimo całej swojej inteligencji, na sztukę absolutnie niewrażliwy i portret, awantażowny czy nie, nic go nie obchodzi, ale niechęć malarzy do wizerunków przyjacielskich działa widocznie siłą nawyku również w stosunku do przyjaciół czworonogich. Tak czy inaczej, faktem jest, że dobrzy malarze psa należą do rzadkości.

Kilka takich fenomenów wydało malarstwo polskie, jakkolwiek żaden nie obrał sobie tego tematu za wyłączną specjalność.

Pierwszym, który się nim zajmował, był inicjator całego wogóle malarstwa polskiego o założeniu realistycznem, J. P. Norblin. Jego psie podobizny nie świadczą zresztą naogół o większem zainteresowaniu się tem zwierzęciem, ani też o dokładniejszej znajomości jego wyglądu; mają one np. zazwyczaj tak wydłużone szyje, że wyglądają raczej jak źrebaki; jednakże na podkolorowanym rysunku, przedstawiającym „Targ w Rzeźnickiej bramie w Warszawie" są dwa wyżły, psim sposobem zawierające ze sobą znajomość przez obwąchiwanie się odtyłu, zaobserwowane wprost znakomicie.

Zajmowali się tym tematem również i dwaj najzdolniejsi uczniowie Norblina: Orłowski i Płoński. Płoński z dużem nawet powodzeniem. Obok kilku rysunków i akwafort, w których pies gra rolę epizodyczną, istnieją plansze, w których jest on bohaterem; jedna z nich zwłaszcza, należąca do słynnego „Recueil de 19 planches", a oznaczona datą 1802 i nr. 13, jest w swoim zakresie rzeczą naprawdę wybitną; siedzący piesek ma nietylko doskonale oddaną czarną sierść z białym kołnierzem i białemi łapkami, ale i doskonały wyraz pyszczka, z którego wnioskować można zarówno o charakterze jak nawet o wieku zwierzęcia.

Malował niekiedy psy również i kontynuator tradycji, zapoczątkowanej przez Norblina, Michałowski; m. in. w Belwederze wiedeńskim znajduje się jego obraz olejny, przedstawiający dwa wyżły; sprawiedliwość każe stwierdzić, że płótno to nie należy do arcydzieł najkulturalniejszego z malarzy polskich, który nierównie lepiej odczuwał inne okazy świata zwierzęcego.

Wybitnym natomiast malarzem psa był ten, który przejął skolei dziedzictwo po Michałowskim: Juljusz Kossak. Z właściwą sobie jasnością obserwacji umiał on podpatrzeć i w kilku rysach scharakteryzować zarówno mądrego wyżła jak brutalnego brytana, zarówno rozpieszczonego pinczera jak rubasznego wiejskiego kundla; jego specjalnością był jednakże wyrafinowany chart, tak jak śród koni był nią szlachetny arab; niewielu malarzy w Europie potrafiło w sposób równie pewny oddać płynny pęd tego urodzonego sportowca w pogoni za szarakiem.

Kilka dosyć dobrych psich wizerunków ma w swoim dorobku Grottger, niepotrzebnie tylko swoim zwyczajem nadający i im nawet sentymentalnie idealizowany wyraz. Psy Matejki są idealizowane w innym kierunku: są potężne, królewskie, heroiczne, jak wszystko co wychodziło spod jego pędzla.

Pies wkracza nadobre do malarstwa polskiego w okresie naturalizmu; jest on stałym motywem t. zw. szkoły monachijskiej, rozmiłowanej w szlagońsko-chłopskiem życiu wsi polskiej, w myśliwstwie, w przygodach łowieckich. Malują go wszyscy uczestnicy tego kierunku; najlepiej oczywiście trzej właściwi jego twórcy, a zarazem najwybitniejsi przedstawiciele: Brandt, Maksymiljan Gierymski i Chełmoński.

Brandt, tak jak i jego mistrz, Juljusz Kossak, upodobał sobie nerwowego, wysmukłego charta. Jest on u niego mniej stylizowany, mniej wytworny, ale zato prawdziwszy w swojej karykaturalnej już nieco smukłości, w swojem nadmiernie już rasowem wydłużeniu.

Ulubionym psem Maksa Gierymskiego jest gładkowłosy wyżeł — pointer; nikt tak jak on nie umiał oddać jego sylwety i ruchu.

Mistrzem jednak w malowaniu psa, największym bodaj, jakiego wydała sztuka europejska, jest Chełmoński. Zna on i odczuwa jednakowo dobrze wszystkie rasy, gatunki, rodzaje, odczuwa cechy indywidualne, odczuwa nawet usposobienie, nastrój. Psy Chełmońskiego inne są zupełnie, kiedy się beztrosko grzeją na słońcu, inne — kiedy czują nerwami przygotowania myśliwskie, inne — kiedy odpoczywają po łowach. Inny jest jego chłopski owczarek na pastwisku, gotowy każdej chwili zerwać się ujadając, aby zaganiać rozproszone stado, inny — wiejski burek przed zagrodą, z psią tęsknością zapatrzony w nocne gwiaździste niebo. Zwłaszcza Chełmońskiego psy śród nocy, ze swym osobliwym niepokojem, ze swemi osobliwemi, bezgłośnemi igraszkami, są jedną z przedziwności sztuki, jednym z cudów wczucia się w duszę natury.



Józef Brandt: Na stanowisku



Artur Grottger: Hrabianki Dzieduszyckie



Maksymiljan Gierymski: Wyjazd na polowanie



Juljusz Kossak: Polowanie na zająca



Zygmunt Ajdukiewicz: Wyjazd na polowanie



Józef Chełmoński: Zajączek

Angielska księga psów

Popularna książka Roberta Leightona, wydana po raz pierwszy w 1922 r. i w ciągu następnych dziesięciu lat aż pięć razy przedrukowywana, „The Complete Book of the Dog"*), jest przedewszystkiem systematycznym przeglądem rozmaitych psich ras. Ujęto je tutaj w cztery duże grupy. W pierwszej z nich omówił autor „rasy niesportowe i gospodarskie" („non-sporting and utility breeds"), takie jak np. buldogi, brytany, psy nowofundlandzkie, pudle, owczarki i in., w drugiej scharakteryzował rasy myśliwskie i inne sportowe (spaniele, jamniki), w trzeciej — rozmaite gatunki angielskich, irlandzkich, walijskich i szkockich terrierów, wreszcie w czwartej — rasy małych piesków pokojowych. Otwierają tę rewję ras „rodzime psy angielskie", buldogi i dogi. Przy opisie każdej z ras — i to jest właśnie cechą wyróżniającą tej książki — w szerokiej mierze uwzględniona została historja jej hodowli w Anglji oraz powyliczani najsłynniejsi i najznakomitsi championi (zawsze z podaniem nazwisk właścicieli). W ten sposób książka przynosi także wcale szczegółową historję angielskiej hodowli psów. Przy każdej rasie podano również — wyróżniony odmiennym rodzajem druku — oficjalny, ustalony przez kluby opis typowego psa danej rasy oraz skalę punktów. Razem z przedrukowanym w dodatku do książki pełnym tekstem statutu angielskiego „Kennel Clubu", nadaje to książce charakter półoficjalnej, kanonicznej „księgi psów", hodowanych w Anglji.

Partje opisowe, zasadniczy zrąb książki, ujęte zostały w ramy dwóch ksiąg: pierwszej „pies i jego właściciel", informującej w takich sprawach, jak wybór psa, opieka nad nim, zasady hodowli i związane z nią kwestje prawne, oraz końcowej „medycyna i chirurgja psia", przynoszącą w elementarnym skrócie systematykę chorób psich i spis najpopularniejszych lekarstw. Na wstępie mamy bardzo pożyteczny, zwłaszcza dla cudzoziemca, słowniczek 120 terminów fachowych, króciutko objaśnionych.

Każda z opisanych w tekście książki ras psich została sprezentowana fotografją jednego ze sławnych championów. W wyborze materjału ilustracyjnego autor nie ograniczał się do psów współczesnych, ale dawał także fotografje przedwojennych championów, wychodząc z założenia, iż przy niektórych rasach, takich jak np. dogi, albo psy nowofundlandzkie, przedwojenny poziom hodowli nie został nigdy po wojnie osiągnięty.

*) The Complete Book of the Dog. By **Robert Leighton.** With eighty-six illustrations. Londyn, Cassel, 1932, str. XV i 1 nl. i 384 i tabl. 35.



Michał Płoński: Pies

Dwa francuskie podręczniki kynologji

Pierwsza z nich popularna (5 wydań) książka „Nos chiens"[1]) wyszła spod pióra redaktora znanego francuskiego perjodyku „Eleveur", Paula Mégnin. Wydając ją, autor kontynuował kynologiczne tradycje rodzinne. Ojciec jego, Pierre Mégnin, jest autorem 5-tomowego dzieła o psach: 2-tomowego przeglądu ich ras i 3-tomowej „Médicine du chien". Książka jego syna nie ma ambicyj fachowych: „Mały podręcznik, — pisze autor w przedmowie, — który ukazuje się oto w piątem wydaniu, nie jest książką uczoną i techniczną, jest to książka dla debjutanta. Streściłem i skondensowałem na tych stronach wszystko, co powinien znać amator; dla tych, co chcą się poświęcić w sposób bardziej dokładny hodowli, albo studjum jakiejś rasy szczególnej, istnieją dzieła specjalne, do których mogę tylko odesłać czytelnika". Cały podręcznik podzielony jest na siedem partyj. Pierwsza, bardzo zwięzła, ma charakter „historyczny", informuje nas o pochodzeniu psa, część druga, to „historja naturalna" psa, jego anatomja, część trzecia, obszerniejsza od wszystkich innych razem wziętych, poświęcona jest opisowi i klasyfikacji ras psich, przyczem autor nie ogranicza się tutaj do samego opisu, ale daje krótką historję każdej rasy, część czwarta daje zarys higjeny życia psiego, część piąta przynosi elementarne wiadomości o chorobach i leczeniu psów, część szósta informuje o pokazach psów, wreszcie siódma i ostatnia podaje wiadomości o opłatach za psy i znaczkach dla psów.

Książka Louisa de Lajarrige[2]) jest przeróbką starej, wydanej jeszcze w ub. wieku książki Larbalétiera. Jej zakres treści jest szerszy niż w książce Mégnina. Księga pierwsza przynosi „historję naturalną" psa (ze specjalnym rozdziałem o inteligencji psa), księga druga poświęcona jest przeglądowi psich ras, trzecia traktuje o hodowli i żywieniu psa, piąta — o jego tresurze, szósta — o organizacjach miłośników psów, siódma — o chorobach psów.

1) **Paul Mégnin.** Nos chiens. Races — dressage — élevage — hygiène — maladies. Cinquième édition revue et augmentée. Avec 164 photogravures. Paryż, J. B. Baillière et Fils, 1929, str. 424 i 8nl.

2) Manuel pratique de l'amateur des chiens (chasse, garde, utilité, agrément). Elevage — dressage — cynophilie — hygiène — maladies — traitements. Par **Louis de Lajarrige.** Préface du Comte **Justinien Clary,** Président de la Société Centrale Canine et du Saint Hubert Club de France. Ouvrage orné de 50 dessins de l'auteur. Paryż, Garnier Frères; str. 4nl. i VI i 2nl. i 314 i 6nl.

MIECZYSŁAW CENA, dr. med. weterynaryjnej

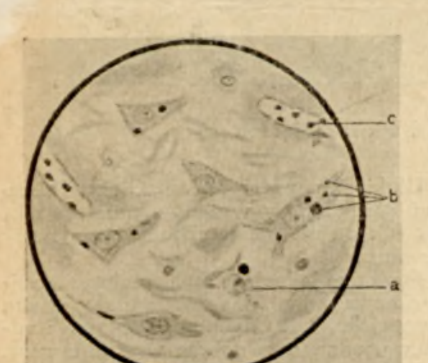
„Psi zaułek" – wścieklizna

Większej, niż u innych zwierząt, wrażliwości na inwazję virusa ulicznego zawdzięczają przedstawiciele rodu canidów, a w szczególności psy, swoją smutną reputację roznosicieli wścieklizny. Według badań uczonych z wielkiej „rodziny Pasteura", zapada na tę chorobę około 87% psów, zakażonych przez ukąszenie. Ta rekordowa wrażliwość psiego rodu przewyższa wielokrotnie cyfry, dotyczące innych zwierząt, a nawet ludzi. Nie każdy bowiem ukąszony przez wściekłe zwierzę człowiek ulega tej pladze. Jedynie bowiem 15 na 100 osobników z rodzaju ludzkiego zapadłoby na wściekliznę, gdyby nie leczono ich według prostej zasady „klin klinem", przetransponowanej w wymiarach nauki na hasło leczenia wścieklizny wścieklizną, polegającego na szybkiem uodpornianiu organizmu, tak aby posuwająca się drogą nerwów i naczyń niewidzialna armja ultramikroskopowych mikrobów napotkała na zdecydowany opór przygotowanych już sił obronnych organizmu.



Oblicze wściekłego psa

Na wściekliznę zapadają prawie wszystkie zwierzęta we wszystkich z wyjątkiem Australji częściach świata, przyczem charakterystycznym u nich objawem prócz symptomów szału jest niezwalczona chęć kąsania, zaobserwowana nawet u tych zwierząt roślinożernych, które w stanie zdrowia nigdy do walki nie używają zębów. Ten znamienny rys agresywności czyni ze zwierząt, opętanych wściekliznowym szałem, osobniki niezwykle niebezpieczne, co oczywiście automatycznie podpisuje wyrok śmierci nietylko na chore, ale nawet na podejrzane o zarażenie się wścieklizną jednostki zwierzęcego świata. „Choroba, która każe kąsać" jest zbyt niebezpieczna dla panów świata, aby mogli oni tolerować nawet istnienie możliwości narażenia ludzkiego życia. Środki zapobiegawcze są też drakońsko bezwzględne, a ostrze ich odczuwa szczególnie zwierzęcy proletarjat, bezdomni i bezpańscy czworonożni włóczędzy, stojący poza nawiasem zwierzęcego społeczeństwa.



Tak wyglądają pod mikroskopem ciałka Negriego (b) w mózgu

Bezrobotnego plebejusza psiego ściga zarówno wzgarda ludzka jak i bardziej namacalne kamienie, rzucane z katapult ludzkich rąk, czy meksykańskie lasso, wypuszczane celnie z rąk człowieka, nazwanego eufemistycznie rakarzem. Schwytany pies, wpadłszy raz w tok urzędowego postępowania, nie wychodzi zwyczajnie poza granicę „domu za miastem". Twarda pałka, która służy równocześnie jako narzędzie ogłuszania i śmierci, kończy nędzy, „psi" żywot istoty, co w innych warunkach mogłaby być wiernym stróżem domu czy towarzyszem człowieka, broniącym go przed ludźmi, którzy są mu wilkami. Rzadko jedynie czworonożni parjasi doznają dobrodziejstwa humanitarnej śmierci na elektrycznem „krześle".

Nieschwytane natomiast, zarażone wścieklizną zwierzęta sieją grozę w okolicy, w której się ukażą. Rozwijająca się w nich choroba działa na nie początkowo przygnębiająco. Pies smutnieje i chowa się w ciemne kąty, kąsając od czasu do czasu powietrze i chwytając wyimaginowane muchy. Równocześnie dają się zauważyć pierwsze objawy porażenia krtani, a pies połyka chętnie drzewo, siano, gwoździe, szkło, lub skórę i inne niestrawne rzeczy, których zbiory stanowią później eksponaty w muzeach anatomopatologicznych.

Po kilku dniach takiego przygnębienia czworonożny pacjent wpada w drugą krańcowość, okazując zwiększoną reakcję na każdy ruch i dostając bez powodu napadów wściekłości. Siła jego ukąszenia jest tak wielka, że pies na twardych przedmiotach wyłamuje sobie często zęby z dziąseł. Pomiędzy jednak okresami szału ma pies okresy przejaśnienia „lucida intervalla", w których rozumie doskonale niestosowność swego postępowania i stara się wytłumaczyć swemu panu i usprawiedliwić przyjaznem łaszeniem, pokorną postawą, wachlowaniem ogona i lizaniem rąk, mogąc zresztą wszczepić mu almanzorowym sposobem swoją chorobę. W momencie szału gotów jest jednak znów rzucić się na swojego pana, któremu tak był wierny.

Pies odczuwa równocześnie gwałtowną potrzebę ucieczki, a zamknięty, rzuca się, gryząc łańcuchu i ściany. Wyrwawszy się, zaczyna „bieg grozy", na którego trasie napada i kąsa milczkiem napotkanych ludzi i zwierzęta. Po takim, często ponad 200-kilometrowym biegu powraca czasem wychudły obraz psiej nędzy i rozpaczy.

Psy nie okazują zupełnie objawów wodowstrętu, który jest tak ważnym symptomem wścieklizny u człowieka. Wody nie piją poprostu wskutek porażenia krtani i mięśni szczękowych, z tego też powodu toczy się z ich pyska piana niepołykanej śliny, a gardziej wydaje charczące, nieartykułowane dźwięki. Ścigany przez władze i ludność, zwierzęcy furjat albo ginie z ich ręki, albo też kończy swój prawdziwie psi żywot całkowitem porażeniem i spokojną już śmiercią, pozostawiając dla usprawiedliwienia swoich postępków sekcyjne świadectwo choroby w postaci krańcowego wychudzenia, anormalnej zawartości żołądka i ciałek Negriego w schorzałym, szalonym mózgu.

Jakkolwiek po odkryciu Pasteura zmienił się los pokąsanych przez zwierzęta ludzi, na których nie wyczynia się już dziwnych, średniowiecznych praktyk, psi los „zainteresowanych" zwierząt nie uległ zupełnie zmianie, a możliwość wygubienia wścieklizny przez masowe uodpornianie psów jest dopiero w stadjum doświadczeń. Tępienie wścieklizny odbywa się nadal jak w wiekach średnich i jest jakby psim zaułkiem, wyrwanym żywcem ze średniowiecza i wstawionym między gmachy nowoczesnej kultury i wiedzy.

Niedawno zresztą wyszliśmy w tej dziedzinie z odmętów średniowiecznej ciemnoty, o czem świadczy obchodzony przed niedawnem dopiero 50-ty jubileusz odkrycia słynnego Francuza, który uratował z tego nieszczęścia świat ludzki. A gąszcze zabobonów i wierzeń, otaczające wściekliznę, były rzeczywiście nie do przebycia dla bystrych nawet umysłów starożytnych, średniowiecznych, a nawet nowożytnych badaczy. Dziwna niesamowitość objawów tej choroby, która dotknięte, nawet najłagodniejsze i najwierniejsze zwierzęta kąsają swych panów, i straszliwa ekspresja symptomów, towarzyszących wściekliznowej śmierci, powodowały przypisywanie tej chorobie czynnikom nadnaturalnym i stworzenie atmosfery tajemniczości dokoła całej sprawy.

Regularne występowanie wścieklizny w miesiącach letnich, a przycichanie jej w zimie nasunęło wykształconym w astrologji mędrcom starożytnego świata podejrzenie, że czynnikiem, wywołującym tę plagę ludzi i zwierząt, jest widzialny właśnie w tym okresie Syrjusz, najjaśniejsza gwiazda firmamentu, który otrzymał nawet z tego powodu mało zaszczytny przydomek „psiej gwiazdy". Okres widzialności tego ciała niebieskiego, któremu towarzyszyło szerzenie się zarazy wśród psów i przez nie u ludzi, zwał się w języku starożytnych Hellenów „opora", a odpowiednikiem tego terminu w językach nowoczesnych jest niemieckie „Hundstage", angielskie „dog days" i francuskie „canicule", z którem w bliskiem pokrewieństwie stoi nasza „kanikuła".

Już w w. V przed Chr. Demokryt opisał fachowo przebieg tej choroby, a znakomity Arystoteles znał doskonale związek pomiędzy ukąszeniem a zachorowaniem, czemu dał wyraz w swojej „Historji naturalnej zwierząt". Szereg też mistrzów starożytnego wiersza porusza w swych utworach te poważne zagadnienia, a mitologja zna nawet specjalnego boga Aristeusa, zamieszkującego Olimp, na etacie patrona chroniącego ludzi przed wściekłemi psami.

O wiele prozaiczniej tłumaczono sobie powstanie wścieklizny w wiekach średnich. Według naszych średniowiecznych przodków, na wybuch wścieklizny wpływały wszelkie gwałtowne zmiany temperatury, zbyt wysoka ciepłota lub silny mróz, silny ból, wdechiwanie przykrych woni, zbyt gorący, lub zepsuty, pokarm i niezaspokojony popęd płciowy. Pozatem można było napewno spodziewać się, według tych wierzeń, że wściekną się w najbliższym okresie kanikuły te świętokradcze psy, które w Boże Narodzenie jadły kości z baranka lub ośmieliły się wyć podczas Wielkiej Nocy. Średniowiecze uznało chętnie wściekliznę za opętanie przez djabła, stosując w jej wypadkach „niespecyficzne leczenie", oparte na ówczesnych metodach odczyniania złych uroków. Szczególnie ulubionemi środkami leczniczemi były egzorcyzmy, wystraszanie złego ducha dzwonieniem, okadzaniem, czarami i magicznemi formułkami, znak krzyża, podawanie chorym ludziom święconej wody i poświęcanego chleba, jak również pielgrzymki do świętych patronów, mających strzec przed tą chorobą. Prócz tego, z jednakowem „powodzeniem" stosowano zimne i gorące kąpiele, szczególnie zaś morskie, pozatem cały arsenał leków roślinnych i mineralnych. Przypuszczano też, że można chorobę wypocić lub przerwać, jak czkawkę, przez przestraszenie pacjenta, wodowstręt zaś, który jest tak charakterystyczny dla wścieklizny u człowieka napadem szału, był uznawany za miotanie się djabła na widok święconej wody. Za siedzibę wścieklizny uznawano, tak u ludzi jak i u zwierząt, żyły podjęzykowe, z których, w myśl urzędowych nawet zaleceń, puszczano krew dla usunięcia „jadu", niektórzy zaś umiejscawiali ją w psim ogonie.

Stosowano zresztą nietylko leczenie, ale i swego rodzaju profilaktykę, zapobiegając chorobie czarami i amuletami. Najstarszą taką formułkę zawiera Talmud, a najbardziej znany był tetragramat w języku celtyckim, który stosowany początkowo przeciw wszelkim ranom, znalazł później szczególne uznanie w lecznictwie wścieklizny. Im bardziej niesamowite były amulety, tem większe miały uznanie. Ogromnem powodzeniem cieszyły się noszone przy sobie włosy z czarnego kozła, robaki, nici zamaczane w krwi kobiecej, czy płótno nasiąknięte psią krwią, pióra koguta, korale, formułki napisane na kartce, a szczególnie rozmaite części psiego ciała, które uchodziło wogóle za skład apteczny w owych czasach. Psie serce i język cieszyły się przez długie wieki niesłabnącem powodzeniem.

Tyle jeśli chodzi o władców świata. Psy, chore na wściekliznę, wybijano poprostu tak jak to i dzisiaj się dzieje w okręgach, nawiedzonych tą plagą. Odkrycie Pasteura, wyswobodziwszy ludzkość z kleszczy tej choroby i sideł zabobonu, nie polepszyło w niczem losu zwierząt. Tak zdobycze wiedzy jak i zasady humanitaryzmu służą jedynie na pokaz w kilku większych miastach, podczas gdy ogromna masa psów ginie od wyładowania się na ich głowach energji kinetycznej hyclowskich pałek. Prowincja polska trwa jeszcze pod tym względem w średniowieczu. Co gorsza, przez długie lata przyszłości nie możemy spodziewać się ani szczepień psów, ani nawet zwierzęcych krzeseł elektrycznych, a tępienie wścieklizny będzie długo jeszcze stało pod znakiem pałki i strzelby.

Psy naszych czytelników

Mój przyjaciel Boks

Boks ma obecnie trzy lata. Pomimo to zachował piękną młodzieńczą linję. Jego ciemny, pręgowany tułów jest zwrotny i giętki, piersi są szerokie i muskularne, mięśnie — żelazne. Muszę powiedzieć, że mało jest zapewne psów tak zabawnych i miłych jak Boks, ma on w sobie niesłychaną żywotność i żywiołowość. Gdy wita nas w domu, robi to z takim zapałem, że przestrzeń przedpokoju jest za mała, żeby pomieścić ten nadmiar uczucia, jest on wtedy kroplą żywego srebra, z tą różnicą, że srebro się toczy połyskliwe, lepkie i drżące, a Boks ma w sobie lotność kropel wodotrysku, zwinność akrobaty i siłę pocisku.



Boks

Opieram się o drzwi, gdy mi podaje swoje bronzowe, zakończone białemi skarpetkami łapy, i błagam, aby właśnie dziś, ten jeden raz, nie rzucał mi się na szyję. Wskakuje więc na małą szafeczkę, gdzie położyłam już swój kapelusz, i przyrządza go na swój sposób — powie ktoś: Boks jest źle wychowany, nie, tylko cieszy się tak, niezmiernie się cieszy, że znów będziemy w domu razem, że nie połknęło nas czerwone pudło tramwaju, że nie porwał nas rychący samochód, słowem, że nie pochłonęło nas zdradzieckie miasto pokus.

Ale z miasta przynosi się smakołyki toteż Boks asystuje z całym pietyzmem przy rozwiązywaniu paczek, smok chiński zastyga w bezruchu, tylko oczy wypukłe, połyskliwe i czujne, badają zawartość: ciastka — to świetnie, znakomicie, bułka — nieźle, ale mydło — poco? Po takim zawodzie, krokiem ociągającym się i nieco obrażonym, idzie do kuchni, aby dawali obiad, a mina chmurna i skupiona mówi wyraźnie: „macie zły gust, najciekawsze jest domowe laboratorjum cudów — kuchnia!".

Czy Boks orjentuje się w czasie? Z całą pewnością tak. Wie napewno, kiedy jest niedziela, sam wtedy przynosi smycz i przypomina o spacerze, mały ogon, którego prawie nie ma, ogon-pompon, drży, tułów skręca się jak gąsienica, pomarszczoną mordkę fałduje grymas zapraszający, oczy patrzą z natężeniem, mówiąc: „zgódź się, pójdziemy razem, tam za drzwiami jest przestrzeń, wolność, nieznane, przygoda — w postaci tygrysiego skoku kota, uciekającego co sił".

Idziemy, jak dwie pantery na cichych łapach, ja na gumach Tretornu, Boks — na miękkich poduszkach. Idziemy tam, gdzie prawie kończy się miasto, ze swojemi domami jak klocki poustawianemi rzędem, na małą łączkę, gdzie często pasą się krowy. Żoliborz ma niezaprzeczone zalety! Jest tam drzewo o zwisających konarach, jeden skok, chwyt szerokiej paszczy, i Boks wisi, huśta się, to opada jak worek, to drży w podrzutach każdym mięśniem robiąc koła tylnemi nogami, to zakreśliwszy łuk, opada na trawę jak dojrzały owoc.

Pewnego dnia, wracając do domu, spostrzegamy zbiegowisko na placu — pali się rozlana na szarym asfalcie koło taksówki benzyna, pali się jak poncz. Boks rzuca się bez namysłu na płomień, tratuje go łapami, miga w jasnym płomieniu, pełznącym nisko, biała kamizelka. Cofa się na chwilę z parzącego pierścienia i znów napiera swą muskularną piersią, niepomny na nic! Nie wiem, czy tkwi w nim pokutujący duch strażaka, dość że ocalił sytuację, a może też i życie perłowej taksówki. Jest bohaterem chwili, a ponieważ wygląd jego zdradza łakomczucha, spotyka go nagroda, szofer biegnie do cukierni i ofiarowuje mu dwa ciastka, — bomby z kremem, — które Boks łyka jak pigułki; „pożeracz ognia" widać nie czuje oparzeń i nie rozpacza, że opalił sobie zupełnie wąsy. Zresztą znamy już oddawna bohaterstwo Boksa na widok ognia, jako mały szczeniak zgasił świeczkę, spadłą z choinki pod firankę, i uratował w ten sposób dom od pożaru, teraz gasi na każde zawołanie papierosy i zapałki. Nie lubi go tylko kotlarz, który woła na podwórzu: „do lutowania, do reparacji", ma on w prowizorycznym piecyku tlejące węgielki, na to poluje Boks, chwila nieuwagi właściciela a już przewraca piecyk i gasi czerwone węgielki, raz poparzył sobie dotkliwie łapy — ale jest niepoprawny!

Boks lubi i podziwia sklepy: rzeźnika, gdzie wiszą białe połcie słoniny i różowe mięso, gdzie uwijają się w kitlach „anioły", które dla Boksa sprzedają mięso i kosteczki. Ale wprost wzdycha z głębi piersi, gdy wchodzimy do Wedla, tak podniecająco pachnie czekolada; myślę, że gdyby Boks znał wartość pieniądza i dobra wróżkaby go obdarzyła, straciłby w tych dwóch sklepach fortunę.

Ale oto pewnego dnia, wprost wstydzę się powiedzieć... Boks poszedł na żebry. Kiedy już wchodziliśmy do domu, nagle znikł. Szukałam go przestraszona i zdziwiona, oglądając się na wszystkie strony, ale coś kazało mi wejść do rzeźnika i spytać o niego. „Tak, był tu przed chwilą, wyprosił kawałek mięsa i poszedł, — śmieje się subjekt, — musieliśmy mu coś dać, stały nasz klient, sam sobie drzwi otworzył". Czerwona, pędzę za nim w pogoń, w mleczarni, okazuje się, też był, dostał kawałek sera, ominął skład materjałów piśmiennych, aptekę, pralnię chemiczną i poszedł na drugą stronę placu, do Wedla.

Tam go zastałam, o wstydzie! Siedział przed kasą, ze łzawem łakomstwem w swych wielkich bronzowych oczach, podając łapę uroczej pani. Na mój widok przeraził się widocznie, westchnął i oblizując się po otrzymanej czekoladce, wybiegł, zostawiając mnie w sklepie. Po tej eskapadzie okazał skruchę, dostał raz w skórę i posiedział na pokucie, w kagańcu, przywiązany do kaloryfera.

Nadomiar złego znalazł w domu uznanie, służąca oświadczyła: „On jest, proszę pani, taki chytrus, że go wszystkie lubią, każda jedna subjektka to mu coś da, takie miętkie mają serca na jego paskudną mordę, bo mówią, że ładny, jakby pani pozwoliła, to onby tu zniósł jedzenia na cały tydzień".

Mało brakowało, a byłabym posądzona o spółkę z Boksem.

Zofja Kelus-Lipkowska.



Czy gniewasz się na mnie?

Skrzynka do listów

Janina Toulowa. Najlepiejby było jak się słusznie Pani domyśla, udać się do lekarza weterynarji, specjalisty chorób małych zwierząt, który mógłby dokładnie zbadać pieska i przepisać mu indywidualne leczenie. Jak już podaliśmy w jednej z odpowiedzi w „Skrzynce", nie doradzamy domowego leczenia psów siarką, gdyż środek ten przy nieaptekarskiem odważaniu nie jest dla organizmu zwierzęcia obojętny.

Radzimy dosypać do mleka, które piesek pije na śniadanie, jednorazowo 2 gr. kamali, w razie zaś potrzeby powtórzyć ten zabieg po dwóch tygodniach. Podany przez Panią jadłospis, z którego korzysta „Mickey", jest odpowiedni, radzimy jednak nie zapominać o dużych kościach do zabawy, które lubi każdy piesek, mszcząc się, w razie ich braku, niszczeniem domowych sprzętów.

Właściciel „Lalusia" w Warszawie. Nie wiemy, do jakiej rasy należy Pański „Laluś", który uchybia towarzyskiemu kodeksowi psa, nosząc zbyt wysoko swój ogon.

Wada ta jest spowodowana przewagą grzbietowych mięśni ogonowych i nie da się usunąć bez śladu. Występuje ona często u nierasowych wilczurów, co zdradza właśnie ich kundelkowate pochodzenie.

O ile to Pana specjalnie nie razi, a pies nadrabia tę wadę zaletami duchowemi, radzimy pogodzić się z losem.

Trudno nam na odległość zorjentować się w charakterze brodawki, umiejscowionej w okolicy psiego oka, sądzimy jednak, że da się ona usunąć operacyjnie. Radzimy zwrócić się z tą sprawą do kliniki chirurgicznej wydziału weterynaryjnego Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego w Warszawie.

Amator wilczurów w Warszawie. Pyta Pan, czem należy tłumaczyć stan 5-letniej suki, która mimo, że od dwóch lat nie zachodzi w ciążę, ma okresy, w których można zauważyć wszystkie objawy w ciąży, łącznie z obecnością mleka w sutkach.

Podane przez Pana objawy występowania wszystkich objawów ciąży, pomimo braku podstaw fizjologicznych w postaci rzeczywistej ciężarności, świadczą o obecności t. zw. ciąży nerwowej, spowodowanej silnym popędem płciowym suki przy niespełnianiu przez nią naturalnych obowiązków biologicznych. Histerja, na którą zapadła suka, jest wyrazem przemożnej tęsknoty zwierzęcia za macierzyństwem, i jedynie rzeczywista rola matki albo kastracja mogłaby ją wybawić z tej choroby.

Jeśli jest to niemożliwe, radzimy w czasie występowania mleka w sutkach, o ile jest ono nadmierne, podawanie codziennie szczypty soli karlsbadzkiej, w razie zaś nadmiernego obrzęku gruczołów mlecznych, okłady z octanu glinu. Zalecamy też wiele ruchu i w razie potrzeby zdajanie nabrzmiałych cystern mlecznych.

Dr. M. C.

Wiadomości zagraniczne

Psie odgłosy sankcyj. Z racji sankcyj antywłoskich „Ente Nationale della Cinofilia Italiana", idąc z prądem, postanowiła radykalnie wyplenić z hodowli psów i z włoskiej terminologji wszelkie tradycje angielskie. Skreślono więc podtytuł stowarzyszenia „Kennel Club Italiano", zakazano włoskim wystawcom brania udziału w pokazach psów, urządzanych w krajach, które uchwaliły sankcje. Nie wolno wzywać zagranicznych sędziów na włoskie pokazy. Hodowcy włoscy — brzmią dalsze zarządzenia — powinni nadawać swoim psom nazwy włoskie, lub też klasyczne, łacińskie; inne nazwy nie będą rejestrowane. W terminologji sportowej należy zrezygnować z terminów obcych, takich jak „standard", „stop", „dressage", „derby", „challenge", „ring". Specjalnej komisji polecono zitaljanizować cudzoziemsko brzmiące nazwy psich ras. Jak widzimy, wszystkie te zarządzenia żywo przypominają owego bohatera wiersza Goethego, który chciał zostać głupcem „auf eigene Hand".

Angielski podatek od psów. Angielski podatek od psów ustalony został przed sześćdziesięciu laty na 7 szylingów i 6 pensów rocznie. Płaci się go od każdego psa, który ma ponad sześć miesięcy. Za ludzi ubogich, którzy na opłacenie podatku nie mogą sobie pozwolić, płacą go „National Canine Defense League" i „Tailwaggers Club". Poborcami podatku są listonosze. W ub. r. skarb angielski zasilił się podatkiem od 2 724 371 psów.

Niedole niemieckich hodowców. Berliński „Der Hund" skarży się na ciężkie położenie hodowców niemieckich. Wskutek wysokich podatków i kryzysu, zapotrzebowanie na psy, zwłaszcza na takie rasy, jak foxterriery, psy szkockie, owczarki i jamniki, silnie spadło. Ogólna liczba hodowanych psów spadła w ciągu ostatnich sześciu lat o 1 100 000, a więc o 30%. Wielu miłośników zwierząt domowych przerzuciło się na hodowlę rasowych kotów, nie pociągającą za sobą żadnych podatków i dużo tańszą. Ich organ „Unsere Katze" ma nakład większy niż jakiekolwiek pismo niemieckie poświęcone psom.

Nadprodukcja foxterrierów w Austrji. Austrjacki klub hodowców foxterrierów („Oesterreichischer Foxterrierklub") radził na ostatniem swojem walnem zebraniu nad środkami zapobiegającemi dalszej masowej hodowli foxterrierów i ich nadprodukcji w Austrji. Postanowiono m. in. podwyższyć wpisowe do klubu oraz popierać na przyszłość wyłącznie hodowlę najbardziej rasowych foxterrierów.

Nowa rasa. W Anglji modna jest obecnie nowa rasa: psy tybetańskie Shih Tzu. Hodowcy tych psów mają już swój specjalny klub, a na ostatnim pokazie Crufta wystawiono 11 psów rasy Shih Tzu.

Wściekłe psy w Hiszpanji. W Hiszpanji szerzy się epidemja wścieklizny u psów. W Mataro niedaleko Barcelony wściekły pies pokąsał 23 osoby, 15 z nich zmarło.

Ze statystyki angielskiej. Jak donosi „Kennel Gazette", w ub. r. zarejestrowano w Anglji 58 459 psów, z tego 9 185 psów, których ojciec był championem, 363 psy, których matka była championem, i 379 psów, pochodzących od championów po mieczu i po kądzieli.

Najważniejsze pokazy psów b. r. Kalendarz największych europejskich pokazów psów na b. r. przedstawia się jak następuje: dn. 4 — 5 kwietnia pokaz urządzony przez paryską Société Centrale, dn. 25 — 26 kwietnia pokaz w Kolonji, urządzony przez niemiecką R. D. H., dn. 9 — 10 maja pokaz, urządzony przez wiedeński Oesterreichscher Kynologenverband; równocześnie z wiedeńskim odbędzie się w Burghofie pokaz, zorganizowany przez Schweizerische Kynologische Gesellschaft. Największy pokaz amerykański, nowojorski, odbył się w dn. 10 — 12 lutego.

W „Skrzynce do listów" redakcja „Przyjaciela Psa" w miarę możności udziela bezpłatnych odpowiedzi na wszelkie pytania dotyczące hodowli psa.



Czy nie jestem miły?

PRENUMERATA z przesyłką zł. 1,20 kwartalnie, zagranicą zł. 1,50. Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe.
OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm, szerok. 1 szpalty 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Kolumna posiada 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota 8 m. 5, tel. 2-42-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Królewska 13, tel. 2-23-04 codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—10. Konto w P. K. O. 14.980.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa.

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI